

Marek Kawa: Między „détente” a „containment”? Iran w doktrynie amerykańskiej

Być może nastał czas, aby w końcu amerykańska administracja empatycznie spróbowała postrzegać tamtejszą rzeczywistość i siebie z perspektywy swojego największego adwersarza w tym regionie i wypracowała w tym kontekście poszczególne oraz holistyczne scenariusze dalszych działań wobec Iranu – pisze Marek Kawa w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Iran. (Geo)polityczny impas”.

Stosunki amerykańsko-irańskie to specyficzne *never ending story*; konglomerat uwarunkowań pośrednich i bezpośrednich, charakterystycznych dla tego rodzaju piwotalnych obszarów jak Cieśnina Ormuz i Zatoka Perska, a generalnie Bliski Wschód. Kilka truizmów na początek: teokratyczny Iran poprzez swoje kluczowe położenie i kulturowo-polityczne znaczenie promieniuje zarówno na świat sunnicki, w którym naturalnie szyici są w mniejszości i często prześladowani (ostatni atak i konflikt z Arabią Saudyjską, proxy war w Jemenie i wsparcie Huti), na świat szyicki poprzez bezpośrednie militarne zaangażowanie wcześniej w Libanie (Hezbollah), a obecnie bezprecedensowe na tak dużą skalę w Syrii – o wiele większe niż Rosjan – (oficjalnie już kilka tysięcy Irańczyków zginęło w konflikcie syryjskim, a kilkanaście tysięcy zostało rannych, i to de facto wojskowa kadra irańska zarządza siłami Assada). Idąc dalej: zwiększane wpływy w Iraku, co w pewnej konsekwencji doprowadziło do zabicia generała Kassema Sulejmaniego przez Amerykanów i izolacji Iraku, aż w końcu

zastępcze działania na Wzgórzach Golan, Palestynie czy inspirowanie tzw. „arabskiej wiosny” z regularnymi cyberatakami na amerykańskie banki i kasyna. Dla porządku nie wolno także bagatelizować irańskiej wielowymiarowej aktywności w postsowieckich republikach kaukaskich, Afganistanie (przewiduje się pewien wpływ na początkowe zerwanie amerykańskiego porozumienia z Talibami), doraźna współpraca z Turcją (mimo równie mocarstwowych resentymentów tej ostatniej), działania irańskich służb w Europie i inicjowanie coraz ściślejszych sojuszy z Rosją, Chinami czy bezpośrednią współpracę z reżimem Kima w Korei Północnej. Jak się okazuje, ten jakże atrakcyjny turystycznie i kulturowo perski świat zarządzany teokratycznie od prawie że 40 lat przez bezwzględny reżim islamskiej republiki ajatollahów, kojarzony niekiedy niewinnie jako kraina kawioru, dywanów, pistacji, ropy... mimo równie czterdziestoletnich sankcji, wyniszczającej wojny z Irakiem w latach 80. nadal pretenduje i pragnie odgrywać rolę mocarstwa regionalnego. Niech nas nie zwiedzie też termin ustrojowej republiki, kuszący naszych komentatorów do konkluzji, że technicznie w Iranie funkcjonuje system demokratyczny: owszem na zasadzie, iż w Rosji czy na Białorusi teoretycznie imituje się prawa zachodnich demokracji. W wyniku wieloletniej indoktrynacji, sam reżim wpadł w pewną pułapkę otoczonej twierdzy: otóż zradyzalizował na tyle społeczeństwo, iż czasami z przyczyn wewnętrznych mimo własnej woli nie może się otworzyć zbyt szeroko na działania reformatorskie i pojednawcze wobec Izraela i USA.

Iran A.D 2020 w przeciwieństwie jednak do Korei Północnej, Rosji czy nawet obecnej Wenezueli jest paradoksalnie dla Amerykanów do pewnego stopnia obszarem przewidywalnym; przynajmniej przez kolejne kilka lat. Obie strony mają tego świadomość, doświadczyli zresztą ze sobą przez wiele lat różnych bilateralnych *ups & downs*, kilka bardziej lub mniej udanych flirtów, o których być może obie

*Amerykańska
administracja jest gotowa
zrobić wiele, aby zapobiec
ewentualnemu konfliktowi
zbrojnemu czy
konwencjonalnej wojnie z
Iranem.*

strony chciałyby
mniej pamiętać:
dwuznaczne
potraktowanie Szaha
Rezy Pahlawiego pod
koniec jego
autorytarnych
rządów, nieformalna
współpraca z
sztabem wyborczym
Ronalda Reagana i
pogrążenie

końcowego etapu kampanii wyborczej Jimmy Cartera, antysowiecka koalicja na Bliskim Wschodzie, uwikłania Iran-Contra, próby wewnętrznych reform prezydenta Chatamiego skutkujące na zewnątrz namiastkami „rapprochement” z USA, UK, Europą, Azją; kuszenie Iranu przez G. Busha powrotem na międzynarodowe salony instytucji i częściowym zawieszeniem sankcji na niektóre produkty, aż w końcu – wynegocjowanie przez sekretarzy stanu J. Karry’ego i H. Clinton porozumienia JCPOA – „Joint Comprehensive Plan of Action”, czy anihilacja kalifatu ISIS. Amerykańska administracja, również Donalda J. Trumpa tak bardzo nieufna multilateralnym rozwiązaniom, wychodząca generalnie z antyglobalistycznych założeń jest gotowa zrobić wiele, aby zapobiec ewentualnemu konfliktowi zbrojnemu czy konwencjonalnej wojnie z Iranem, tak trudnym do zajęcia topograficznie i zahartowanym izolacją, zwłaszcza po traumie prowadzenia otwartych dwóch wojen jednocześnie na podobnie ukształtowanym terenie. To przecież m.in. nieprzemyślana wojna w Iraku rozpoczęta przez administrację G. Busha juniora de facto wzmocniła pozycję Iranu w regionie. Pokus uderzenia na Iran choćby w ostatnich latach też nie brakowało: te najpoważniejsze to choćby presja Izraela (2013-15) pod rządami premiera B. Netanjahu jako histeryczna i

po trosze wyborcza wewnętrznie reakcja na niezrozumiały dla Izraelczyków układ P5+1 (JCPOA) czy ostatnie pogróżki D. J. Trumpa do pewnego stopnia zrealizowane po atakach na amerykańskie drony, Arabię Saudyjską czy placówki amerykańskie w Iraku. To między innymi przez „rapprochement” Baracka Obamy i jego ekipy wobec sytuacji na Bliskim Wschodzie, zwłaszcza wobec Egiptu, Palestyny i Iranu premier B. Netanjahu wszedł w otwarty konflikt z administracją Obamy; kwestia podpisanego porozumienia de-nuklearnego (JCPOA) zachwiała wydawałoby się najtrwalszym bilateralnym sojuszem XXI wieku: premier Izraela po raz pierwszy tak otwarcie zaangażował się w kampanię wyborczą w USA popierając kontrkandydata Obamy – Mitta Romneya; z kolei Obama w swej podróży na Bliski Wschód ostentacyjnie pominął Izrael. Nie oznacza to jednak, że żaden z ostatnich prezydentów USA, nawet prezydent Obama czy Clinton, nie wykluczali militarnych działań wobec Iranu, gdyby czerwona linia zostałyby przekroczona.

Z drugiej strony Iran bardziej kreujący się na hegemon regionalnego i działający punktowo, poprzez sprawdzone dla siebie już *proxies*, z gospodarką wielkości średniego stanu w USA i zmęczony jednak 40-letnimi sankcjami, ostatnio skompromitowany zestrzeleniem ukraińskiego samolotu pasażerskiego i dość licznymi przypadkami zakażeń koronawirusem tylko w przypływie niekontrolowanego fanatyzmu islamskiego lub wewnętrznych rozgrywek dynastycznych i napięć między ośrodkami władzy mógłby samobójczo sięgnąć po ostateczne rozwiązanie czym byłby otwarty konflikt zbrojny z USA o zasięgu regionalnym, bo z Izraelem, Turcją czy Arabią Saudyjską. Pomimo braku jeszcze zdolności i potencjału do otwartej konfrontacji zbrojnej z USA, co naturalnie oznaczałoby wówczas eskalację wojny z całą proamerykańską koalicją w tym rejonie (począwszy od Izraela a skończywszy może i na Jordanii) Iran naturalnie będzie dążył do jak

największej destabilizacji regionu Bliskiego Wschodu; a ma do tego przynajmniej na początku gorliwego sekundanta w postaci putinowskiej Rosji. Ostatnie reperkusje turecko-syryjskie są tego koronnym dowodem. Co interesujące, na froncie wojen medialnych, Iranowi i Rosji udało się jedna rzecz: stereotypizacja USA jako właśnie destabilizującej i destruktywnej dla równowagi Bliskiego Wschodu siły i ośrodka.

Zanim dojdzie do odbudowy Syrii, rosyjskie firmy jak i wojsko w sposób kontrolowany są wpuszczane do Iranu.

Dlatego też, dość istotnym wątkiem w kontekście sytuacji w Iranie jest coraz istotniejszy partner, a mianowicie Rosja. Niestety, często przedstawiana jest ta

bilateralna relacja Iran-Rosja zbyt jednoznacznie. Owszem, obaj partnerzy w obecnej sytuacji geopolitycznej są do pewnego stopnia na siebie skazani. Jednak kwestie historyczne (antysowieckość Persów) jak i przyszłościowe wcale nie rokują, iż ten sojusz będzie trwały. Przypuszczam, iż do pierwszego poważnego poróżnienia może dojść przy podziale wpływów w odbudowie Syrii, gdzie Iran jest zbyt głęboko zaangażowany (milicje szyickie, Hezbollah, wojskowi), i poniósł o wiele większe koszty niż Rosja, aby bezinteresownie ustępować pola Putinowi. Na razie jednak powodów do sojuszniczego zbliżenia ostatnimi laty jest nadto sporo. Oba te regionalne mocarstwa są od kilku lat na cenzurowanym; jedni odczuwają sankcyjne skutki amerykańskiej CAATSA czy sankcje EU, a drudzy ponowione sankcje Trumpa; nie mają zbyt dużego wyboru sojusznicznych partnerstw pośród znaczących się państw i regionalnych sił. Rosja potrzebuje Iranu do balansowania Południowego Kaukazu (Górski Karabach) i Turcji

oraz amerykańskiej aktywności na Bliskim Wschodzie, a także jako potężnego rynku zbytu swojego sprzętu wojskowego. Obaj partnerzy wspierają się na forum ONZ, kiedy choćby międzynarodowa opinia publiczna w większości potępiła Rosję za aneksję Krymu i konflikt z Ukrainą; z kolei Rosja blokowała USA, kiedy w Radzie Bezpieczeństwa ta ostatnia próbowała ponawiać sankcje na Iran. Zanim dojdzie do odbudowy Syrii, rosyjskie firmy jak i wojsko w sposób kontrolowany są wpuszczane do Iranu (mimo iż reglamentowana obecność obcych wojsk na terenie Iranu jest w sprzeczności z irańską konstytucją). Rosjanie wybudują prawdopodobnie dwie nuklearne elektrownie, zmodernizują infrastrukturę przesyłową (rurociągi), infrastrukturę kolejową, importując w zamian gaz, wyroby słonecznikowe i zboża. Szacuje się już, iż skala finansowa rosyjskiego zaangażowania w Iranie sięga już 10 mld \$.

Iran w swej strategicznej doktrynie nie ukrywa wcale, iż stale chce dążyć do funkcjonowania jako *axis of strategic equilibrium and balance* (Nozar Shafiei członek parlamentarnej komisji do Spraw Bezpieczeństwa Narodowego i Polityki Zagranicznej); czynnikiem równoważącym w odniesieniu do zwiększającej się roli koalicji amerykańsko-izraelskiej. Iran pozostaje tym trudniejszym przeciwnikiem, gdyż wcześniej zaprawiony w bojach jeszcze z sowiecką rewolucją, próbującą również w Zatoce Perskiej poszerzać swoje wpływy nie ugiął się, przetrwał wyniszczającą wojnę z Irakiem nie oddając swojej jednej z najbardziej cennych prowincji, a na to wszystko od 40 lat funkcjonuje w większej lub mniejszej izolacji gospodarczo-politycznej nękany sankcjami.

Dlatego też koncepcja „containing” George Kennana, która niewątpliwie sprawdziła się wobec większego i bardziej wyrafinowanego przeciwnika jak ZSRR z całym blokiem państw satelickich będzie kontynuowana niewątpliwie wobec Iranu. Dramatycznym wariantem doktryny powstrzymywania dla całego regionu była interwencja w Iraku 20 lat temu; z kolei niedanym zastosowaniem modelu „*détente*” będzie amerykańskie zbagatelizowanie konfliktu w Syrii i podpisanie JPCOA.

Amerykańscy decydenci ciągle mają gdzieś w podświadomości swoiste „fatum” jakie towarzyszy relacjom irańsko-amerykańskim po rewolucji Chomeiniego.

D.J. Trumpa nieufna multilateralnym rozwiązaniem po likwidacji generała Sulejmaniego wręcz utwierdziła się w przekonaniu, mimo wielu eksperckich propozycji bardziej holistycznego

rozwiązania kwestii Iranu - czego próbą było JPCOA, iż więcej zyska indywidualnymi inicjatywami z ewentualnie doraźnym sojusznikiem w zależności od skali problemu. Trump jest przekonany, iż właśnie poprzez punktowe działania, z zaskoczenia i pozycji siły, bilateralne bezpośrednie negocjacje (podobnie jak z Putinem, prezydentem Chi, przewodniczącym Kimem) więcej osiągnie w relacjach z reżimami aniżeli wielobiegunowo pertraktując. W chaotycznie prowadzonej polityce zagranicznej administracji D. J. Trumpa, gdzie często siłą grawitacyjną decyzji staje się sam prezydent, pomijający często sugestie Departamentu Stanu czy Pentagonu, rozgrywa się wobec Iranu swoista gra pomiędzy „realistami” w osobie samego prezydenta,

sekretarza stanu, Pentagonu i służb a „konfrontalistami”, którzy są niewątpliwie w mniejszości sytuujący się symbolicznie w Zachodnim Skrzydle, rekrutując się pośród „jastrzębi” (niedawny jeszcze doradca ds. bezpieczeństwa - J. Bolton), a dzielący perspektywę premiera B. Netanjahu. W ostatnich wydarzeniach na lotnisku Iraku, niewątpliwie górą zostali ci ostatni. Do działań odstrasżających i powstrzymujących, co do tej pory oznaczało: dyplomatyczną koalicję antyirańską, sankcje, „covert actions” wzmacniające opozycję wewnętrzną w Iranie, zakotwiczenie militarne w regionie, doszła konfrontacja, jakkolwiek wciąż mająca miejsce poza geograficznym obszarem Iranu.

Amerykańscy decydenci nieco psychologicznie ciągle mają gdzieś w podświadomości swoiste „fatum” jakie towarzyszy relacjom irańsko-amerykańskim po rewolucji Chomeiniego, zwłaszcza nieszczęsna akcja militarna odbicia zakładników z ambasady USA w Teheranie, która prawdopodobnie kosztowała prezydenta Cartera przegraną reelekcję. Nowe podejście USA do Iranu po ostatnim *climax* na początku roku jak na razie idzie w kierunku deeskalacji, biorąc pod uwagę skomplikowaną sytuację w Syrii, Turcji i polityczne manewry wyborcze w Izraelu. Być może nastał czas, aby w końcu amerykańska administracja empatycznie spróbowała postrzegać tamtejszą rzeczywistość i siebie z perspektywy swojego największego adwersarza w tym regionie oraz wypracowała w tym kontekście poszczególne i holistyczne scenariusze dalszych działań wobec Iranu.

Marek Kawa



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego